17. lutego 1866. Nr. 7. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 168 m. przy ulicy Dominikańskiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

Dr. Maksymiljana Müllera
profesora akademji Oksońskiej

Odczyty o umiejętności języka.

Dla polskich czytelników przerobił Bronisław Trzaskowski.

(Odczyt drugi.)

Umiejętność języka należy do nauk przyrodniczych. — Wzrost języka a historja języka.

(Dokończenie.)

Starania gramatykarzy i purystów około mniemanej poprawy języka są zupełnie daremne i nie zobaczymy zapewne już owych szematyzmów, według których języki z nieprawidłowości oczyścić miano. Zdaje się jednak, że powolne znikanie tak zwanych nieprawidłowych deklinacyj i konjugacyj tak w językach piśmiennych jak i niepiśmiennych dziecinnemu narzeczu przypisać należy. Język dzieci jest więcej prawidłowy niż nasz własny. Zdarzyło mi się nieraz słyszeć dzieci mówiące: ręki, oka, uchów, przyjacielów, szedła, tnąc i t. p. i właśnie to gramatyczne słuszności uczucie, to dążenie ku prosto analogicznemu rozwojowi języka usunęło w ciągu wieków już nie jedną tak zwaną nieregularną formę języka. Formy w dzisiejszym języku piśmiennym już więcej wyjątkowe: mszą, religją, wolą i t. p. ustąpią niezawodnie wkrótce zupełnie i zastosują się do przeważnego ogółu form odpowiednich na *ę* zakończonych, jak znowu przeciwnie formy deklinacji zaimkowej moję, twoję, swoję, naszę, waszę i t. p. przybierają coraz powszechniej i przybiorą kiedyś wyłącznie końcówkę *ą*, która je z całym ogółem form deklinacji ściągniętej czyli przymiotnikowej zrówna — i nie pomogą w tej mierze żadne gramatykarzy protestacje. Podobnie odmieniało się słowo posiłkowe w języku łacińskim bardzo nieregularnie. Jeżeli *sumus* znaczy jesteśmy a *sunt* są, to osoba 2. liczby mnogiej według ścisłej loiki dziecinnej *sutis* być powinna. Niezawodnie brzmi ta forma dla uszu do klasycznego *estis* przyzwyczajonych bardzo po barbarzyńsku, i widzimy jak n. p. język francuski w swojem *nous sommes*, *vous êtes*, *ils sont*, klasyczne formy starannie dochował; ale w hiszpańskiem znajdujemy *somos*, *sois*, *son* a to *sois* powstało rzeczywiście z *sutis* po wyrzuceniu *t*. Podobne ślady gramatycznej niwelacji napotykamy we włoskich formach *siamo*, *siete*, *sono*, które na wzór prawidłowych słów, jak n. p. *crediamo*, *credete*, *credono* powstały; osoba 2. *sei* zamiast *es* pochodzi także z gramatyki dziecinnej. W podobny sposób zawdzięczają wołoskie formy *sŭntemu* (jesteśmy) *sŭnteti* (jesteście) swój początek osobie 3. l. mn. *sunt*. I cóż dopiero powiedzieć o takich gramatycznych potworach jak *essendo!* Jak *credendo* od *credere* tak powstało to gierundjum według zasad ścisłej równości od wyrazu bezokolicznego *essere*. Jednak nie dziwmy się wcale; podobne barbaryzmy znajdujemy i w innych językach. W anglosaskiem przeniesiono osobę 3. l. mn. *sind* według fałszywej analogji na osobę 1. i 2., a w angielskiem stoi *are* na wszystkie trzy osoby. W staro-nordyjskiem brzmią te osoby: *ĕr-um*, *ĕr-udh*, *ĕr-u* a w gockiem *sijum*, *sijuth*, *sind*. W języku polskim wyparły także wskutek mylnej analogji potworne formy jestem, jesteś, jesteśmy, jesteście dawniejsze właściwe jesm, jeś, jeśmy, jeście. Jak w niektórych narzeczach polskich my, są, wy są, albo sąśmy, sąście napotykamy, tak słychać w angielskiem *I be* zamiast *I am*, a jeżeli chartyzmus kiedy weźmie górę, możemy być pewni, że się do dzienników formy jak *I says*, *I knows* niezawodnie wcisną.

Te rozmaite wpływy i warunki, pod którymi język rośnie i zmienia się, dadzą się do prądów morskich przyrównać; które skoro tylko ich siła ustaje, pewien osad na dnie morskiem zostawiają, który coraz bardziej dźwiga się i rośnie, aż wreszcie na powierzchnię wystąpi, aż wreszcie wszystkie części jego, co nie wewnętrzną wzrostu siłą, nie drogą niezmiennych praw natury powstały, zbadać i poznać się dadzą; z drugiej atoli strony i o tem się przekonamy, że owe części nie są samego przypadku dziełem, ani jako utwory bezprawych i luźnych sił razem się skupiły. Nie można być nigdy dosyć ostrożnym w używaniu słów. Ściśle biorąc wyrazy historja albo wzrost do przekształceń ustawicznie zmiennej powierzchni ziemskiej zastósować się nie dadzą. Mówimy o historji tylko tam właściwie, gdzie wolne działają siły; wzrost zaś wyraża naturalny rozwój istot organicznych. Mówimy atoli i o wzroście skorupy ziemskiej, a wiemy bardzo dobrze, co pod tem rozumiemy. W tem znaczeniu, a nie w znaczeniu wzrostu roślinnego możemy o wzroście języka mówić. Jeżeli owe przemiany, które z czasem przez ustawiczne danych żywiołów kombinacje zachodzą, a które się przed regularnem wolnych sił działaniem usuwają, a nareszcie jako rezultat naturalnych wpływów poznać dadzą, wzrostem nazwać, i jeżeli według tego określenia o wzroście skorupy ziemskiej mówić można, to da się ta sama nazwa w tem samem znaczeniu i na język przenieść i uprawni nas do wykluczenia umiejętności języka z dziedziny nauk historycznych i przeniesienia jej w dziedzinę nauk przyrodniczych.

Jeszcze nad jednym zarzutem zastanowić nam się potrzeba, a to bliższe zastanowienie doprowadzi nas właśnie do jasnego zrozumienia właściwego i istotnego charakteru języka. Owe wielkie okresy wzrostu ziemi, które gieologiczne badania wykazały, kończą się albo zbliżają się przynajmniej do końca, skoro się tylko pierwsze ludzkiego życia ślady pojawiają i skoro się dzieje człowieka w najobszerniejszem słowa tego znaczeniu rozpoczynają. Przeciwnie okresy wzrostu czyli przemian języka poczynają się z historją ludzkości i idą z nią równolegle. Dla tego twierdzono, że aczkolwiek język nie może być samej sztuki dziełem, przecież niepodobna byłoby zrozumieć życia i wzrostu jakiego języka bez historycznej znajomości czasów, w których się tenże tworzył. Trzeba, jak mówią, wiedzieć, czy język który pod mikroskopem porównawczej gramatyki analizować mamy, wzrósł dziko w pośród surowych plemion bez żadnej ani ustnej ani piśmiennej, ani poetycznej ani prozaicznej literatury, albo czy go poeci, kapłani i mowcy wykształcili, czy wyciśnione na nim piętno klasycznego wieku. Z drugiej strony tylko z roczników politycznych dziejów dowiedzieć się można, czy jaki język zetknął się z innym językiem, jak długo to zetknięcie trwało, który z tych dwóch ludów stał wyżej w oświacie, który uległ a który zwyciężył, który stworzył religję, prawa, sztuki krajowe i wydał najwięcej narodowych nauczycieli, gminnych piewców i demagogów. Wszystkie te pytania mają charakter historyczny, a umiejętność, co tyle ma czerpać ze źródeł historycznych, tylko jako anomalję w dziedzinie nauk przyrodniczych uważaćby można.

Odpowiadamy teraz na to, że między naukami przyrodniczemi żadna tak ściśle z dziejami ludzkości połączoną nie jest, jak umiejętność języka. Podobnego związku, chociaż może nie tak rozległego można się i pomiędzy innemi gałęziami przyrodniczych badań a dziejami człowieka dopatrzeć. W zoologji n. p. przyda się wiedzieć w którym dziejów okresie, w której okolicy i w jakich celach niektóre zwierzęta ułaskawiono i na domowe przeistoczono. W etnologji, co mówiąc nawiasem wcale się nie różni od umiejętności języka, trudnoby było przytoczyć dowody, że na mongolskiej rasie Węgrów i na tatarskiej rasie Turków kaukaskie piętno spoczywa, gdyby historyczne pomniki o pochodach i osiedleniach tatarskich i mongolskich plemion w Europie nie wspominały. I botanikowi porównywającemu rozmaite gatunki żyta trudnoby było wytłumaczyć ich szczególne właściwości, gdyby nie wiedział, że roślinę tę w niektórych okolicach już tysiące lat uprawiają, kiedy w innych, jak n. p. w kaukaskich krainach jeszcze dziko rośnie. Rośliny mają podobnie jak rasy ludzkie swą ojczyznę, a że w Grecji ogórki, we Włoszech pomarańcze i czereśnie, w Polsce ziemniaki, w Węgrzech tytoń na przylądku dobrej nadziei winograd znajdujemy, to tylko historyk zupełnie wytłumaczyć potrafi. Jeżeli więc między historją języka, a historją człewieka bliższy zachodzi stosunek, to jednak z tego jedynie powodu nie można jej z dziedziny nauk przyrodniczych wykluczyć. Lecz idziemy jeszcze dalej i twierdzimy, że umiejętność języka dokładnie zrozumiana i określona jest od historji zupełnie niezawisłą. Prawda, że chcąc mówić o języku Anglji musi coś z politycznej kraju tego historji wiedzieć, aby obecny stan tego języka zupełnie pojąć. Jego dzieje poczynają się od starych Brytonów, którzy celtyckiem narzeczem mówili; prowadzą one nas dalej do saskich zaborów, do duńskich napadów i do normańskich najazdów. Widzimy, jak każdy z tych politycznych wypadków do ukształcenia charakteru języka istotnie się przyczynił. Można o języku Anglji powiedzieć, że był z kolei celtyckim, saskim, normańskim i angielskim; mówiąc jednak o języku angielskim wstępujemy na zupełnie inne pole. Język angielski nie był nigdy celtyckim, celtycki nie stał się nigdy saskim, saski nigdy normańskim, a normański nie przeszedł nigdy w angielski. Historja celtyckiego języka snuje się ciągle aż podziśdzień. Nic to nie znaczy, czy nim wszyscy Wielkiej Brytanji mieszkańcy albo tylko mała garstka w Walji, Irlandji i Szkocji mówi. Jak długo jakim językiem mówią, tak długo żyje on i ma byt samoistny. Ostatnia staruszka, co po kornijsku mówiła, a której teraz pomnik wystawić zamyślają, przedstawiała sama w sobie stary język krainy Kornwall. Może się wprawdzie stać Celta Anglikiem, celtycka i angielska krew mogą się pomieszać; jakoż kto potrafi wykazać dzisiaj dokładnie stosunek, w jakim się celtycka i saska krew w ludności angielskiej pomięszała? — Ale języki nigdy się nie mięszają. Jest także rzeczą całkiem obojętną, jakie miano nadamy językowi Wielkiej Brytanji, czy go angielskim, saskim lub brytańskim nazwiemy; dla badacza języka jest język angielski teutońskim i tylko teutońskim. Niechaj fizjolog twierdzi i dowodzi, że język angielski w wielu względach, niejako ze kształtu swej czaszki i swego ciała celtycki typ pokazuje; niechaj gienealog utrzymuje i wywodzi, że herby niejednej angielskiej rodziny normańskiego są pochodzenia, — badacz języka musi iść swoją własną drogą. Historyczne dowody prastarej podstawy celtyckiej ludności w Brytanji, tudzież saskich duńskich i normańskich najazdów mogą mu się przydać; lecz gdyby nawet wszystkie pomniki zniszczono, wszystkie czaszki dawnych kraju tego mieszkańców w proch się rozsypały, to przecież język angielski, jakim pierwszy lepszy chłopak wsiowy mówi, według porównawczej gramatyki rozebrany okazałby swoją własną historję. Bez pomocy historji przekonalibyśmy się, że język angielski jest teutońskim czyli giermańskim, że należy razem z holenderskim i fryzyjskim do narzecza dolno-niemieckiego, że narzecze to wraz z górno-niemieckiem, gotyckiem i skandynawskiem teutońską czy giermańską języków klasę stanowi, że ta teutońska klasa wraz z celtycką, litewską, słowiańską, helleńską, italską, irańską i indyjską do wielkiej indo-europejskiej czyli aryjskiej języków rodziny należy. W słowniku angielskim może znaleźć badacz celtyckie, normańskie, greckie i łacińskie cząstki, ale ani jedna kropelka obcej krwi nie wcisnęła się do organicznego systemu angielskiego języka. Gramatyka, ta krew i ta dusza języka, jest w języku angielskim, jakim w Wielkiej Brytanji mówią, zawsze jeszcze tak czysta i niepomieszana, jak wtedy, kiedy nim jeszcze na wybrzeżach niemieckiego morza Anglowie, Sasi i Jüci mówili.

Rozważając w ten sposób i zbijając zarzuty, jakie przeciwko przypuszczeniu umiejętności języka do koła nauk przyrodniczych czyniono albo czynić można, doszliśmy do pewnych wyników; zanim atoli dalej postąpimy, uważamy za rzecz stosowną powtórzyć je jeszcze raz po krótce. Widzieliśmy, że porównawcza filologja czyni język przedmiotem swoich umiejętnych badań, gdy tymczasem filologja tylko jako środek go traktuje. Nie jednego języka ale wielu, a w końcu wszystkich języków badanie jest zadaniem tej nowej umiejętności, a język Homera nie więcej ją zajmuje jak narzecze Hottentotów.

Widzieliśmy powtóre, że po pierwszej praktycznej nauce i po starannym rozbiorze źródłosłowów i form jakiego języka najbliższy i najważniejszy krok na klasyfikacji wszelkich języka ludzkiego rodzajów polega; i że dopiero po spełnieniu tego zadania do owych wielkich kwestyj przystąpić można, które sobie każde przyrodnicze badanie stawia, do kwestyj nad istotą, początkiem i celem języka.

Widzieliśmy potrzecie, że jest różnica między tak zwaną historją a wzrostem języka. Staraliśmy się określić właściwe znaczenie wzrostu odnośnie do języka i uczyniliśmy tę uwagę, że wzrost ten nie zawisł wcale od humoru człowieka, lecz ulega prawom, które pilna uwaga dostrzega a które coraz dalej badane prowadzą wreszcie na ślad wyższych praw, którym narzędzia tak myśli ludzkiej jak i głosu ludzkiego podlegają. Chociażeśmy przyznali, że umiejętność języka w ściślejszym związku niż każda inna przyrodnicza nauka z tak zwaną polityczną ludzkości historją zostaje, to jednak przekonaliśmy się, że ściśle biorąc nasza umiejętność bez tej obcej pomocy obejść się potrafi, i że języki według ścisłości swej gramatycznej budowy, bez żadnego względu na osoby, rodziny, pokolenia, narody i rasy które nimi mówią lub mówiły, rozebrać i rozklasyfikować się dają.

W ciągu tych uwag postawiliśmy dwie zasady, do których się w dalszym badań naszych biegu często odwoływać będziemy. Pierwsza uważa gramatykę za najistotniejszy żywioł a przeto za podstawę klasyfikacji wszystkich języków, które się na pewną gramatyczną budowę zdobyły; druga nie dopuszcza, aby mógł istnieć język mieszany. Obie te zasady zrosną się przy dokładniejszem badaniu w jeden główny pewnik. Nie ma może żadnego języka, którogoby w pewnym sensie mieszanym nazwać nie można. Żaden naród, żadne plemię nie odosobniło się tak, żeby się doń pewna liczba obcych wyrazów nie wcisła. Niekiedy przekształciły te przybysze całą pierwotną postać języka i wzięły górę nad rodzimym żywiołem. Język turecki jest narzeczem turańskiem; gramatyka jego była pierwotnie czysto tatarską czyli turańską, obecnie zaś zarósł ten język, jak nim ludzie wykształceni w Carogrodzie mówią, tak dalece perskiemi i arabskiemi słowami, że prosty człowiek ze wsi bardzo mało z tego języka, Osmanli zwanego, rozumie, chociaż gramatyka jego, z tą, jakiej on sam w swojem tatarskiem wyrażeniu używa, jeszcze zupełnie się zgadza. Nie ma może żadnego języka, któryby tyle z dalekich źródeł czerpanych słów posiadał, co język angielski. Zdaje się, że każdy kraj ziemi niektóre z swoich słownych wyrobów na umysłową Anglji targowicę przyniósł. W słowniku angielskim znajdziesz łacińskie, greckie, hebrajskie, celtyckie, saskie, duńskie, francuskie, hiszpańskie, włoskie, niemieckie, a nawet hindustańskie, malajskie i chińskie słowa w dziwnej mieszaninie. Podług dowodów, jakich same słowa dostarczają, nie podobnaby było pomieścić języka angielskiego w którejkolwiek z klas ustalonych języków. Pominąwszy mniej znaczne przymieszanie łacno się przekonać, że w języku angielskim żywioły łacińskie albo raczej nowo-łacińskie t. j. normańskie znacznie przeważają żywioły

swojskie czyli saskie albo teutońskie. Może się to zdaje rzeczą niepodobną; albowiem biorąc pierwszą lepszą stronicę książki angielskiej i licząc na niej słowa czysto saskiego i łacińskiego pochodzenia znajdziemy niezawodnie większość po stronie saskiego. Rodzajnik, zaimki, przyimki i słowa posiłkowe, co wszystko z saskiego wyrosło, przychodzi ustawicznie na jednej i tej samej stronie. I tak utrzymywał Hickes, że dziewięć dziesiątych części słów angielskich z saskiego pochodzi, ponieważ w całem ›Ojcze nasz‹ tylko trzy łacińskiego pochodzenia słowa przychodzą. Sharon Turner czyniąc spostrzeżenia na obszerniejszem polu przyszedł do tego wniosku, że się żywioły romańskie do saskich w tym samym stosunku, jak dwa do trzech znajdują. Inny badacz, który liczbę wszystkich angielskich słów na 38.000 podaje, przypisuje saskim źródłom 23.000 a staroklasycznym 15.000 M. Thommerel zaś policzywszy wszystkie słowa w słowniku Robertsona i Webstera i sporządziwszy dokładniejszy inwentarz dowiódł stanowczo, że całej liczby 43566 słów 29853 klasycznego, 13230 teutońskiego, a 483 mieszanego jest pochodzenia. Podług świadectwa jego słownika i uważając język angielski jako mieszany, trzebaby go wraz z francuskim, włoskim i hiszpańskim za narzecze romańskie czyli nowo-łacińskie uważać. Chociaż atoli języki co do słownika swego zdają się bardzo mieszane, to przecież co do gramatyki nigdy mieszanymi być nie mogą. Herwasowi opowiadali misjonarze, że w połowie 18. wieku Araukanie, chociaż jedno tylko niehiszpańskie słowo mieli, przecież gramatykę ojczystego języka zupełnie zachowali. To jest przyczyną, dla czego gramatykę normą pokrewieństwa i podstawą klasyfikacji prawie wszystkich języków uczyniono, i wynika z tąd samo przez się, że ani w klasyfikacji ani w umiejętności języka w ogóle o narzeczach mieszanych mowy być nie może. Czy może być większa na pozór mieszanina jak w języku, którym polscy żydzi mówią, a jednak jest on pod względem gramatycznym czysto niemieckim. Można n. p. w języku angielskim utworzyć całe zdanie z samych tylko łacińskich czyli romańskich słów złożone ale wszystkie zabytki gramatyczne angielskiego języka noszą niezatarte ślady teutońskiej pracy. To co dzisiaj w języku angielskim gramatyką nazywamy, składa się zaledwie z końcówki genitywu i liczby mnogiej, z stopniowania i z kilku osobowych i czasowych końcówek. Pomimo tego już samo to *s*, co jest znamieniem osoby 3. liczby poj. czasu teraźniejszego, stanowi niezbity dowód, że język angielski w umiejętnej języków klasyfikacji, chociażby nawet ani jednego saskiego nie był dochował słowa, przecież do rzędu saskich narzeczy policzonym i jako gałęź wielkiego teutońskiego pnia aryjskiej rodziny uważanym być musi. W starych i mniej wyrosłych językach jak n. p. łaciński, grecki, polski, litewski, jest gramatyka czyli formalna część mowy nie równie więcej rozwinięta niż w angielskim i jest dla tego o wiele pewniejszą przewodniczką do odkrycia rodzinnego rozprószonych tej samej familji członków podobieństwa. Są języki, w których nie znajdziesz ani śladu tego, co się zwykle gramatyką zowie, n. p. starochiński; są znowu inne, w których widać jeszcze dorastanie gramatyki, albo mówiąc dokładniej, powolne przejście materjałów w formalne elementa. Przy tych językach opiera się klasyfikacja na innych zasadach, jakich nauka przyrody dostarcza, a zamiast kryterjów gienealogicznego pokrewieństwa w kryterjach morfologicznego powinowactwa poprzestać musimy.

Otóż odpowiedziałem na niektóre zarzuty, które umiejętności języka w nauk przyrodniczych koło wstępu zabraniają. Zobaczymy w następującym odczycie, jaką postać przybrała historja naszej umiejętności od początku aż po nasze czasy, i o ile da się o niej powiedzieć, że przebiegła trzy stadja wszystkim naukom przyrodniczym właściwe t. j. empiryczne, klasyfikujące i teoretyczne, które wiek dziecinny, młodzieńczy i dojrzały każdej nauki przyrodniczej znamionują.

Chłopoman.

(Ciąg dalszy)

II.

A Maksymicha — wiecie? — oszalała z bolu.

Jużcić szaleje, kto z rozwianym włosem lata po wiosce, załamując ręce i straszne klątwy miotając na panów.

— Dziecko mi zabił! męża mi zabił! przeklęty, klęty po wieków wieki!!

I piersi nagie szarpie pazurami, resztki warkoczy rwie i ciska stroną; a w oczach niemasz łzy, lecz ogień straszny, a w ustach piana wściekłości.

— O pany! Śmierć wam i piekło za łzy nasze gorzkie!... Póki choć jeden z was dnia słońce widzi — póty na niebie Pana Boga nie ma! bo szatan z wami i wyście z szatanem!...

Tak wyhukiwa szalona po wiosce; aż się straszliwym śmiechem roześmieje, wychudłą ręką wskazuje na pałac.

— Śmierć, śmierć wam, podli!

I znika w alei.

A ludzie stali, wzrok wlepiwszy w ziemię: ciężko tam piersi i sercu boleśnie... I każdy wyrzekł w głębi duszy: ›poźniej!‹

Straszliwe słowo; zadrzyjcie nań, katy!

›Poźniej...‹ O, siło przeznaczeń tajemna! dozwalasz zbrodni znaleść śmierć spokojną, a poźniej pomstę swą z niewinnych bierzesz... Bolesna dla nas mądrość twa tajemna!

. . . .

Zamknięta brama hrabiowskiej siedziby; ale choroba ze śmiercią, nieszczęście — wszak znajdą drogę, pomimo wrzeciądze; więc się i zemsta tędy przedrzeć zdoła! bo i w niej mocy, jako w tamtych, dosyć.

Jak wąż się, chyłcem, przemyka w burzanach; minęła kuchnie, kredensa i sienie — odrzwie zamknięte, nigdzie ani ducha.

I tu jej pamięć wróciła na chwilę.

— Uciekł! pojechał!... Niech go piekło goni! niechaj gdzie stąpi szczęśliwość ucieka! Przekleństwo jemu i wam wszystkim klątwa!

— Ha! tuś mi szczenię! pański ......! I tyś z ich gniazda, obmierzła gadzino! Chociaż cię teraz, jak nas łachman kryje, choć głodny skomlisz, jak my, psy człowiecze — to kiedyś w złote ustroisz się szaty i nasze dzieci tak katować będziesz, jako twe ojce — dziadów i nas siekli. O bądź przeklęty, psi synu, gadzino! niech cię czart porwie, podłe plemię lasze!

— Tę włosów resztkę ciskam tobie w oczy; powróz z nich ukręć i na matki włosach, wy, córek zbóje, obwieście się wszyscy!

I z krwią wyrwała ostatni pęk włosów — rzuca sierotce na spłakane lica, który drząc słuchał klątwy słów okropnych, co mu tak młodo na głowę upadły.

W końcu podwórza, pomiędzy topole, stał posąg Chrysta z kamienia wykuty: jako niewinne błogosławi dziatki.

Nie wiem, czy miejsce jemu przy pałacu; ale pan wszystko może, co rozkaże — więc i Chrystusa miał na swe skinienie....

Straszna ironja: Chrystus błogosławi, a pan katuje stworzenia niewinne!... Bo lud, jak owe dzieciątka, pokorny.

. . . .

Okropne dramy krwawej rozwiązanie!

Choć nikt nie słyszał słów sceny ostatniej, sam obraz wstrząsnął głębią duszy widzów! O zmierzchu trupa znaleźli szalonej: do szyi Chrysta uwiązała powróz — zawisła na nim straszny wzrok swój szklanny w stronę pałacu zwróciwszy, a ręka, w ostatnim ruchu groźby, jej zastygła!

*

O kroków kilka, pomiędzy burzany, sierotę Janka znaleziono śpiącym; z pod rzęs łez dwoje świeciły mu perłą, a w ręku trzymał włosów pęk, zsiwiałych.

Jeden krzyk zgrozy wyszedł z piersi widzów! Słońce promieniem oświeciło trupa, wiatr rozwiał chusty...

A hrabia w tej chwili o humanizmie rozprawiał szeroko!

Pytacie: czemu w śpiew mą wiążę mowę? dla czego, mówiąc, w rytm ją pieśni składam?...

Na struny serca nawiązałem słowa, z męczarni duszy wydobyłem tony i krzywdy skargą rozlewam się łzami.

Bom ja z krainy cierpienia i jęku; jam syn płaczących matek i dziecięciem ojców, co we krwi brodzą swych najdroższych.

Nie miejcie serca, lecz słuch niezepsuty, i pójdźcie ze mną do lichej lepianki — usłyszcie jako matka nad kolebką płacze dzieciny, spuchłej z głodu - zimna; w chacie nic nie ma! nic, krom nagiej nędzy.... a dziecię trzeba zostawić w męczarni, bo pan pańszczyznę odrabiać przykazał, urząd wymaga zapłaty podatku, za pogrzeb matki ksiądz się upomina....

W ten się płacz matki wsłuchajcie-li uchem, pochwyćcie słowa skarg, co idą z serca — one się p i e ś n i ą wylewają z duszy, w r y t m się układa ta cierpienia mowa.

Z ludem mym cierpię i płaczę wraz z ludem.

A teraz wiecie czemu, mówiąc, śpiewam.

* *
*

Często się to wydarza na świecie, a częściej u nas, że z dwóch rodzonych braci jeden jest łotrem, gdy drugi strzeże poczciwości rodu.

Najczęściej też się dzieje, że łotrem zostaje ten z braci, który zbrzydziwszy sobie niską strzechę ojcowskiego dworka, poszedł o klamki pałaców wycierać czoło, aż praktyką życia, gdy ostatnią cnotę sługi utraci, dojdzie do wywyższenia: z przedpokojów wchodzi do pałacu, i jakby pragnąc stać się godniejszym ścian złocistych, ryczałtem okrywa się maską łotrostw, by wyrównać nawet i tym panom, którzy wiekami matactw zdobyli sobie pozycję — stania na karkach innych, z sumieniem przerażonem...

Tak się rzecz miała z braćmi Gromskimi. Starszy pilnował roli i był poczciwym; młodszy Stefan poszedł na dwory pańskie. Starł się tam jak lichy szeląg; ale po dwudziestu leciech — został panem.

Ożenił się z pewną arystokratką — z tytułu stosunków swych w stolicy; wziął za żonę znaczny majątek, mało sobie ważąc jakiemi drogi zdobyła go połowica godna.

Żona wyrobiła mężowi tytuł szambelana, order spadł mu miłościwie na piersi. Potem się z Targowiczanami miało do czynienia; jaśnie wielmożny gienerał wiele mówił o miłościwej cesarzowej... i gdy p o r z ą d e k z r o b i o n o w n i e s z c z ę ś l i w y m kraju — pan Gromski został wysoką figurą: orderów mu przybyło, pieniędzy przybyło, i umierając spokojnie, zostawił syna miljonowym panem, dobrze położonym u rządu.

Syn, już pan hrabia, w późnych latach przypomniał sobie o rodzinie ojca, w wołyńskich borach skrytej. Dał rozkaz, i plenipotent zdał mu raport: stryj umarł dawno, pozostawił syna, dziedzica dwóch wiosek, który ma córkę jedynaczkę.

— Hm! zamyślił się pan hrabia. Nie wiadomo jaki plan sobie ułożył; ale dał rozkaz gotowania się do podróży i nazajutrz z synem, już dorosłym, wyruszył na Wołyń.

Przyjęty od brata gościnnie, zapragnął w siedzibie ojców wieku dokonać, a że w sąsiedztwie były dobra na sprzedarz, z zamkiem niegdyś książąt Korjatowiczów — kupił je i został sąsiadem brata.

Zdziwiono się niepomału bliżej i dalej w okolicy, gdy wieść się rozeszła, że syn pana hrabiego, rzucił najlepsze partje stolicy i ofiarował swą rękę pięknej pannie Zofji, siostrze swej stryjecznej; ale większe jeszcze było niektórych zgorszenie na wiadomość, że stary sędzia stanowczo odmówił ręki córki, nazywając związki podobne kazirodnymi, choćby je nawet i papież błogosławił; a już zdziwieniu nie było granic, gdy w tygodni kilka panna Zofja została żoną ubogiego szlachcica Starskiego, który po ojcu dostał nie wielką wioszczynę na Ukrainie; ale patrjotycznem swem zachowaniem się, przymiotami duszy ujął sobie sędziego i zdobył serduszko, a z niem i rękę Zosi.

Wielką to burzę wywołało w pałacu. Pan hrabia wyrzekł się brata i rodziny; syn hrabiego wieczną zemstę poprzysiągł krewnemu; a skutek tego był ten, że stary hrabia ze zmartwienia i złości, bardziej podupadł na zdrowiu i umarł; młody pan Kalikst został hrabią i okrzyknięto go marszałkiem na wyborach; a Zosia z mężem pozostała przy starym ojcu, który się cieszył szczęściem swych ukochanych dzieci.

Pan hrabia marszałek nie zapomniał o swej zemście: płatni adwokaci dowiedli jak na dłoni, że posiadłość sędziego jest własnością pana Marszałka, jako spuścizna przodków. Napróżno sędzia świadczył się dokumentami, przysięgą starców i gromad wioski — przegrał w sądzie niższym, wyższym, nareszcie senat stanowczo zadecydował jego wywłaszczenie.

Próżno sędzia odwoływał się do sumienia krewnego, prosił by miał wzgląd na siwe jego włosy, na córkę — pan hrabia został zimnym, jak głaz, i sam był świadkiem sądowej egzekucji, gdy sędziego z córką i jej małą dzieciną wypędzono ze dworu.

Mąż Zofji natenczas był dla spraw w Kijowie, a egzekucji wstrzymać nie chciał pan hrabia.. Nieszczęśliwy starzec sędzia nie przeżył swej krzywdy: umarł błogosławiąc córce — przebaczając hrabiemu.

Dobrzy ludzie przyjęli w dom swój nieszczęsną, a gdy na wiadomość, mąż Zofji przyjechał — już w ojca majątku gospodarzyła służba hrabiowska, a sam on wyjechał do stolicy.

Starski z żoną i dzieckiem zamieszkał w wiosce swej na Ukrainie.

Ale i tu czy zemsta dosięgała go hrabiowska, czy Bóg doświadczał sprawiedliwych: dwa razy spalono ich dobytek, w ogniu zginęło dziecię, wraz z piastunką.

Nieszczęśni cierpieli, lecz nie upadali na duchu; po każdej klęsce tem rączej brali się do pracy; aż zda się ustał gniew Boga i straszny hrabia zapomniał o zemście: zagospodarowali się nieco, Bóg dał doczekać pociechy z córki, ktorej trafił się uczciwy człowiek za męża.

Ale hrabia tylko czasu nie miał, bo przesiadywał w stolicy, wyższych dobijając się urzędów, i to mu przeszkodziło — odwlekło rozkosz pastwienia się nad swą ofiarą, ale gdy Starscy, z porady ludzi światłych i zacnych, poczęli dopominać się o wydartą własność ojca — gniew hrabiowski na nowo wybuchł: oskarzono Starskiego o spiski, porwano z objęć rodziny i okutego w łańcuchy wtrącono w lochy kijowskiej twierdzy, w której umarł. Za nim poszła wierna jego małżonka.

Prawo do majątku spadło na zamężną córkę Zofji i jej syna; wypadało zniszczyć i tę ostatnią zawadę. Nie było to trudnem: mąż córki Zofji był ubogim szlachcicem, któremu na w y l e g i t y m o w a n i e się brakło pieniędzy — zapisano go w poddaństwo; jako poddanego kupił go pan hrabia i oddał w rekruty.

Nieszczesny nie przeżył rozpaczy i hańby: kula pistoletu pozwoliła mu zapomnieć o wszystkiem — zastrzelił się.

Chorej w malignie dano znać o śmierci męża; nie to ją zabiło. Ale trupa matki poruszy zatrata dziecięcia: mały Jasio, syn chorej, zginął gdzieś bez wieści.

Co przeniosła żona — nie zniosła matka: — skonała z bolesnym jękiem: »synu!»

O, trzeba było widzieć szatański wyraz twarzy hrabiego, nad grobem stojącego starca, gdy dnia pewnego stawiono przed nim małe dziecię, ukradzione matce.

Pan hrabia czuł się bardzo szczęśliwym!

Jakże to długo żyje podłość, gdy w koło tyle cnót przepada!...

Wielka była radość hrabiego; a niemałe zdziwienie innych, że nieznanego sierotę wziął na swą opiekę: kazał do kuchni oddać i dawać mu strawę.

Zagadką było dla wszystkich: poco stary hrabia codziennie kazał przyprowadzać do się obszarpańca i patrzył nań w milczeniu; a zwiędłe policzki czerwieniały mu wtedy i oczy nabierały blasku próchna.

Nie długo jednak cieszył się ofiarą, bo w pół roku pono oddał — jak ksiądz mówił w mowie — pobożnego ducha Bogu.

Straszny sąd przekona nas, czy prawdę mówił opłacony pater.

Sierota pozostał w pałacu, i młody hrabia odjeżdżając polecił, by go nie wyganiano z kuchni i nie żałowano strawy.

Już więc wiecie coś-niecoś o Janku; a on biedaczek i tyle nie wie: przypomina sobie, że u mamy lepiej było, niż w pałacu; że tatko milej dotykał się jego głowy, niżli pijany kucharz Józef, który go wciąż warzęchą okłada... Dawniej podobno lepiej mu było: ale to sen może.... może tak mu się zdaje tylko...

— Tu takie śliczne niebo, takie ładne kwiatki w około....

I dziecię żyło, jak małe szczeniątko; bo nikt się oń nie troszczył. — Ah, szczenię miało matkę... Janko jej nie miał...

Miał niebo i kwiaty! (D. c. n.)

GRABARZE.

Urywek do akwareli K. Macewicza: „Włościanie grzebiący powstańców.“

Spocznijcie ojcze, grób już dość głęboki,
Odmówmy pacierz i chowajmy zwłoki.
Najpierwej tego, co z czerwoną skronią
Leży tam biedny, szablę cisnąc dłonią,
Nie przywarł oczu i jeszcze się zdaje,
Że mu ból srogi serce w piersi kraje,
Bo w straszne zmarszczki twarz mu zbiegła biała,
A usty zda się, wroga klnie bezmała.

Na piersi drugi złożył ręce obie:
A serce zda się jeszcze marzy sobie
O swoich, chacie wśród lip starych białej,
Tęskniącej żonie i dziecince małej.
Niebieski spokój zbielił smętne lica,
Jak srebrny księżyc, gdy z za chmur przyświeca,
Przygasłe oko, usta uśmiechnięte,
W zanadrzu krzyżyk i kwiatki zeschnięte.

Klęknijmy ojcze .. gwiazd przybywa niebu,
I krwawe ciała czekają pogrzebu.
Modlitwa nasza niech ku niebu leci,
I światłość wieczna duszom tym niech świeci.
Zielony kurhan zwłoki ich osłoni.
A z wiosną ptaszę nad grobem zadzwoni.

1865. *H. M.*

Żywot i pisma Karola Balińskiego.

Dwa lata już dobiega, jak przestał żyć pośród nas ś. p. Karol Baliński, a oprócz kilku zapisków kronikarskich, serdecznego choć krótkiego ›Spomnienia‹ A. Bielowskiego przed VIII. pieśnią ›Męczeństwa‹ w 4tym tomie Biblioteki Ossolińskich, a nareszcie krótkiej wspominki L. Siemińskiego, umieszczonej najprzód w fejletonie Czasu, a potem z małemi poprawkami w ›Portretach literackich‹ — oprócz tego więc, co samo przez się jest jeszcze bardzo małem, ocena pism Karola, zaregiestrowanie ich, jeżeli się tak wyrazić wolno, w wielkie roczniki naszej literatury leży jeszcze odłogiem.

Że w obec onej krwawej a wzniosłej tragedji, odgrywanej na całym przestworzu Polski w czasie zgonu ś. p. Balińskiego, w obec tego potopu łez, krwi i żałości, zalewającego całą ojczyznę naszą, osłupiali na ten w dziejach aż po dziś dzień może jedyny widok, zgłuszeni serca krwawą boleścią, nie zdołaliśmy myśleć o czemś, co wychodziło po za zakres pola bitwy, lub więziennych murów, nie dziwi nas; ani też to, że na owe właśnie czasy przypada głuche milczenie pod względem naukowym i literackim. Lecz że dzisiaj, kiedy ochłonąwszy nieco z przerażenia i bolu, a we własnej niedoskonałości przyczyny naszych niepowodzeń szukając, rzucamy się z zapałem do pracy na każdem polu, aby wytępić co złe, naprawić co zepsute, wypełnić co niedostateczne a wzmocnić i podnieść to, co dobre — że do dziś dnia, mówię, nie znalazł się nikt, coby dzisiejszy nasz temat opracował, tego nie umiemy sobie inaczej wytłumaczyć, jak tylko tem, że zapoznano istotną wartość prac Karolowych, że w nich szukano nie ziarna lecz łupiny, nie idei, lecz artyzmu. Uważamy sobie za obowiązek zapoznać czytelników dokładnie z życiem i dziełami pisarza, którego myśl przewodnicząca jest ta sama, jaką nam podają wszyscy prawdziwi wieszcze, wszyscy prawdziwi mędrce narodowi, a która to myśl nareszcie znalazła wcale nie dwuznaczne odbicie w pismach wielu współczesnych a gienjalnych cudzoziemców. Ta jest tylko między innymi jej przedstawicielami a Karolem różnica, że ten ostatni stawia tę myśl bardziej nago, bardziej jasno a więc i bardziej bijąco w oczy. Z tego to stanowiska zapatrującym się na życie i prace Karola zupełnie one w innem przedstawią się świetle. Należy je więc sądzić, nie jako płody estetyczne mające zadowolnić jedynie tylko uczucie piękna, ale oraz jako należące do tej gałęzi naszej literatury, której celem jest ogłaszanie i rozszerzanie nowych prawd dzisiejszego wieku.

Gdy więc dotychczas nikt w mowie tu będącej pracy nie podjął *), przekonani o wielkiej praktycznej doniosłości prac Balińskiego dla oświaty narodowej, kusimy się dać niniejszem rys życia i, o ile sił naszych starczy, ocenę pism Balińskiego, ile że zostawawszy przez dłuższy czas w blizkich z nim stosunkach i będąc w posiadaniu znacznej ilości jego listów, tuszymy sobie, iż będziemy mogli rozjaśnić niejeden ciemny punkt, rozwiązać niejedno zawiłe pytanie, tak odnośnie do samego Karola, jak równie i do myśli, której on był jednym z najjaśniejszych i najlogiczniejszych przedstawicieli.

I.

O zaprawdę wielkoludy!
Ludzie wielcy sercem, cnotą,
Wielcy silną, świętą wiarą,
Wielcy bolem i prostotą
I miłością i ofiarą.
Ubożuchni a bogacze,
A nazwisko ich — tulacze.
Baliński.

Karol Baliński urodził się dnia 27 maja 1817 r. w Dzierzkowicach, wsi w województwie lubelskiem położonej, z Tomasza i Marji Balińskich. W pierwszych latach stracił rodziców i odtąd wychowaniu jego równie jak dwóch braci i siostry zajmowała się pani O' Rian. Zacna ta i bardzo wykształcona kobieta, cała się wychowaniu wnuków poświęciła. Mieszkali oni wówczas w Hrubieszowie, gdzie naprzód starszy Antoni a potem wszyscy

*) Wprawdzie słyszeliśmy, że zakomity na polu literackiem i historycznem pracownik, Ludwik Nabielak, napisał życiorys i ocenienie pism Karola jako przedmowę do przyszłego wydania pism jego. Znany talent pisarski, wspólność zdań i zapatrywań się, wreszcie długoletnia z Karolem zażyłość są nam rękojmią użyteczności tej pracy. Wydanie pism Balińskiego zostało z nieprzewidzianych przyczyn odroczone, a w skutek tego została praca Nabielaka w rękopisie. Życzyćby należało, aby które z pism naszych postarało się o umieszczenie jej w swych kolumnach.

'rzej do szkoły powiatowej uczęszczali. Tu już mały ładniutki Karolek, (gdyż w latach młodszych był pięknym — a dopiero późniejsze cierpienia zmieniły go do niepoznania) był ulubieńcem kolegów, a kochany przez całą rodzinę. Pod pozorem, że najmłodszy, szczególnej doznawał pieczołowitości ze strony babki, a osobliwie swojej piastunki, jednej z tych poczciwych, choć nader rzadkich istot, pełnych przywiązania, dobroci i miłości, które tak często właśnie między niewiastami z gminu napotykamy. Takim istotom jest w głębi duszy cały lud nasz podobny. Ale wrogowie wszelkiej miłości i spokoju, którzy na nienawiści i kłótni bratniej własny swój byt chcą oprzeć, napawają go żółcią i nienawiścią, podjudzają do zbrodni, a bardziej jeszcze my sami własnym go złym gorszymy przykładem, własnymi czynami rozgrzeszamy jego zstąpienie z drogi moralności.

Przez tę to podobno piastunkę zapoznał się Karol bliżej z istotą naszego ludu, przez nią poznał jego podania, które później tak cudnie ubarwiać umiał. W obcowaniu też z nią zaczerpnął on tej miłości dla ludu, która stała się później jedną z najcharakterystyczniejszych cech jego polityczno-literackiej postaci. O tem wszystkiem, równie jak o przywiązaniu do tej prostej poczciwej kobiety świadczy piękna wzmianka w poetycznym liście do W. K. Wojcickiego:

„Jak dziś mój drogi, przypominam sobie —
Dzieckiem urwałem kwiat na ojca grobie,
Obok klęcząca matka moja mleczna
Piastunka chłopka — choć taka serdeczna
Że radaby mi nieba przychyliła,
A niczego mi nigdy nie broniła,
Co się łzie mojej nigdy nie oparła,
A przecież wtedy kwiat z rąk mi wydarła,
I przeżegnawszy złożyła na grobie,
Potem mię słodko przyciągnąwszy k'sobie
W dziecięce serce wrzuciła mi słowa,
Które na wieki już dusza zachowa.
Słowa serdeczne i wielkie i święte,
Chociaż przez malca wówczas niepojęte
Lecz jak nasionka wpadły w głąb, i wzrosły,
Dojrzały z laty, i owoc przyniosły.
— — — — — — — —
Nauczycielko ty moja serdeczna
Chłopko! prostaczko! matko moja mleczna!
Czemu tak jasno widzę cię w tę chwilę?
Czemu tak żywo stajesz mi przed oczy?
A serce moje taki smutek tłoczy,
Jak gdybym klęczał na twojej mogile!

Również niezwykłą miłością i czcią otaczał on babkę; pamięć jej była mu świętą, a portret jej należał do rzędu tych niewielu rzeczy, z któremi niezwykł się był rozłączać w ciągu ciężkich dni swego tułaczego żywota.

W pierwszych klasach nie najlepiej uczył się Karol przekładając nad książkę zabawę ołowianymi żołnierzami; gdy mało ważne zdarzenie całkiem nowy rozwojowi jego nadało kierunek. Jeden z ówczesnych kolegów jego, a później najserdeczniejszy może przyjaciel miał spory plik wierszów, rozumie się patrjotycznych, i często je Karolowi czytywał. Ta na pozór mała okoliczność zażegła w sercu Karola iskrę palącą się później jasnym przez całe życie płomieniem. Tak w trzydzieści lat potem wyraża się Karol w liście z d. 22. maja 1858 roku.

›Gdy sięgam myślą w moje lata szkolne i wzrokiem czterdziestoletniego doświadczenia rozbieram wrażenia w on czas odbierane, których wpływ pozostał na całe życie, widzę, choć może ty sam tego nie wiesz, boś może nigdy o tem nie myślał, jak dużo winien ci jestem, t. j. Bogu przez ciebie. Pamiętasz ty owe twoje stosy papierów, wierszy, któreś z sobą przywiózł, a z których tak wiele zdrowego pokarmu wyssałem na Bóg wie jak długo. Mimo wiedzy twojej dużo i bardzo dużo przyczyniłeś się do rozżarzenia we mnie wiary i miłości, a ja wiem teraz, dzięki Bogu, co to są za skarby niezrównane i jak są nieszczęśliwi ci, u których tej iskry bożej nie rozdmuchiwano w dziecięcym wieku — albo ci co ją tak zgasili w sobie, albo raczej zagrzebli tak głęboko, że już jej rozgrzać nie mogli.›

Odtąd zaczął Karol celować we wszystkiem, co się tyczyło historji lub literatury, a zwłaszcza polskiej. Śpiewy historyczne, żywoty Sapiehów Kognowickiego i kilka podobnych książek stanowiły codzienną jego lekturę.

W r. 1830 przenieśli się Balińscy do Warszawy, gdzie pobierając dalej nauki, zostawali pod opieką przyrodniego brata ojca, wysokiego urzędnika sądowego, Relejowskiego. Czternastoletni Karol nie mógł oczywiście mieć udziału w powstaniu r. 1831. Pod doznanemi wrażeniami pisał on pierwszy swój poemacik ›Gierylasy›. Wiersz ten parę arkuszy obejmujący nie był nigdy drukowany, miał jednakże już wówczas zapowiadać znakomity talent. Po powstaniu dalej uczęszczał do szkół w Warszawie a sądząc po postępie w naukach i po wypracowaniach profesorowie wróżyli mu, że kiedyś w piśmiennictwie poczesne zajmie stanowisko. Szczególniej wiele wpływu wywierał nań prof. K. Znając przykrości, jakie za sobą pociąga stan literata a szczerą dla Karola przejęty miłością, odradzał mu powołanie pisarza, jako drogę zbyt ciernistę i przykrą, na której osobistego szczęścia nigdzie podobno, a tem mniej u nas nie szukać. Wypowiedziawszy jednak te wszystkie morały, czy rozumowe powody nie umiał się wstrzymać, by młodemu chłopcu nie dać jakiej nowej, lub zakazanej książki do przeczytania. Od niego to miewał Karol ›Ziemiaństwo›, ›Sybillę› i t. p. utwory, tak szanowny profesor, zamiast gasić w Karolu ogień poetyczny, rozniecał go jeszcze bardziej.

Tu przychodzi nam zwrócić uwagę na punkt dotąd mało rozważany, a którego rozwiązanie rzuciłoby niepospolite światło na psychologiczny rozwój dzisiejszego naszego społeczeństwa. Słusznie powiada Janusz:

„I całe nasze polskie pokolenie
„Niby przez czyściec przeszło przez więzienie“.

Lecz kto wie czy niedaleko słuszniej i trafniej byłoby taką postawić parafrazę:

„Że wszystkie nasze polskie pokolenia,
„Niby przez szkołę szły przez sprzysiężenia.“

Tam gdzieś w onych błogosławionych krajach, gdzie psychicznemu rozwojowi ludzkiego umysłu słońce wolności i niepodległości narodowej przyświeca, tam człowieka — dziecię — budzą z umysłowego uśpienia czarne lub niebieskie oczy, i niby dwie gwiazdki, prowadzą w krainę marzeń, której podwoje otwiera mu miłość, za to czarodziejką żywota przezwana, i pod jej to opiekuńczemi skrzydłami wyrasta dziecię w młodzieńca. U nas inaczej, u nas każdy bardziej czujący umysł, bywa już w pierwszych latach życia wyrzucony z kolei normalnego rozwoju. My od dziecka patrzaliśmy się, jak deptano to, co nam święte i umiłowane i od dziecka też uczyliśmy się nienawidzić to, czemu uszanowanie okazywać zmuszeni byliśmy. Z nas każdy w kolebce probował:

Kripki ůže jeho žmeni,
A maty neboha
Śpiwała dytyni:
Lulaj w sławu Boha
Na hazard witczyni.“

(D. c. n.)

Korespondencje.

Wrocław, 9 lutego 1866.

W czwartym i piątym numerze Tygodnika zamieściliście korespondencję z Paryża, korespondencję rozprowadzającą dalej myśli autora „Listów ze Lwowa“, szczególnie w kwestji zadania korespondencyj, mających być zamieszczanemi w waszem piśmie.

Autor określając zadanie krajowych i zagranicznych korespondencyj, chcąc uzasadnić swoje zdanie o treści tychże, dotyka nadzwyczajnie ważnych kwestyj, jak: przeprowadzenia oświaty narodowej i sposobu od-

gadnięcia zagadki narodowego życia. Korespondent rozstrzyga w tych pytaniach Będąc zdania, że korespondencjom nie można a nawet nie powinno się przepisywać pewnej treści i bezwzględnie mówić, że tylko taka a taka odpowiada zupełnie celowi; pomijam zresztą to pytanie podrzędnego rzędu i przechodzę do owych powyższych dwóch ważnych pytań, czyli raczej do wypowiedzenia przyczyn, dla których nie zgadzam się co się tychże tyczy, ze zdaniem paryzkiego korespondenta.

Autor główną wagę, śmiało powiedzieć możemy, jedyną prawie, kładzie na podniesienie i wydoskonalenie uniwersytetów, napominając młodzież zaledwie w klauzule, aby nie spuszczała z oka i innych zakładów naukowych. Że w samej rzeczy dobroć uniwersytetów wielkiej jest wagi, że w rozszerzaniu oświaty część ucząca główną gra rolę, ta zaś dla zakładów średnich z uniwersytetów i akademij technicznych się rekrutuje — nie ma wątpienia. — Zarazem jednak powiada autor, że bez szkół ludowych nie ma nigdzie dobrych uniwersytetów. Ponieważ jednak także powiada, że szkółek ludowych u nas nie ma (słusznie powiada) i prędko nie będzie (bo szlachecka klasa jest niechętną, a propaganda w tym celu trudną) — więc ztąd wypływa, że nie ma nadziei na prędkie polepszenie uniwersytetów! — Żeby dobroć tychże była zawisłą od dobroci szkółek wiejskich — temu nie wierzymy. Dobroć uniwersytetów bowiem zależy od wykładających profesorów, a ci i ich umiejętność na tym wysokim stopniu, jakiego wymaga katedra akademicka, nie stoją w najmniejszym związku z ludowemi szkółkami. U nas wprawdzie nie ma i dobrych szkółek i dobrych uniwersytetów— ale z tego jeszcze nie wypływa słuszność zdania korespondenta. Te dwie rany tylko inni mogą zagoić — a szczególnie polepszyć uniwersyteta może tylko rząd i sejm krajowy, jeźli w tem pośredniczyć zechce.

Jednak nie o to mi głównie chodziło, nie o wykazanie kontradykcyj. Uwagę twoją rodaku chcę zwrócić w tę stronę, w którą tak mało, tak bardzo mało kazałeś się patrzeć młodzieży. Jest to właśnie ta oświata ludu, ta kwestja tak ważna, dzisiaj jedna z najważniejszych, którą opuściłeś jako nie mogącą należeć do zakresu działań młodzieży.

Powiadasz ziomku: szlachta niechętna, a dla młodzieży zanadto trudna propaganda do zakładania szkółek ludowych. I jedno prawda i drugie — i jeszcze wiele innych gromadzi się do tego przeszkód. Ale cóż z tego wynika? Czy, że zostawić należy rzecz tę na opatrzność Bożą i że młodzież do tego brać się nie powinna — dla trudności propagandy? To niestety wynika z słów twoich, chociaż zapewne mimo twojej woli. A jednak powiadasz, że do tego poświęceń potrzeba i że do tych młodzież tylko zdolną! A więc bracie — naród ma prawo żądać tego poświęcenia się młodzieży — naród żąda od niej tego! I dziejowa klątwa na niej, jeźli nie odpowie zadaniu swemu, klątwa równa, większa niż ta, która może będzie musiała trafić wrzody naszego społeczeństwa. Do niej powiedzą dzieje: mieliście serce i czuliście niem, a nie działaliście podług niego. A ona czuje i wszyscy którzy żyją, czują znaczenie słów: Oświata ludu. Czują, ale dotychczas tylko czują — a słowo Boże marnieje! Naród ma cały ogrom pracy przed sobą: góry znosić, przepaście zapełniać.. a któż się ma podjąć takiej pracy, kto pójść naprzód z przykładem poświęcenia? Młodzież — ta ma ustąpić przed trudnościami? Któż więc przeciw nim pójdzie — kto stawi im czoło?

Do ludu młodzieży — do ludu — tem przysłużysz się narodowi. Nie spuszczaj także z oka nauk poważnych, specjalnych — do tego zresztą zbytecznem jest zachęcanie. Tak pracujących znachodzimy coraz więcej. A jeźli kształcenie siebie samej uważasz za wielki obowiązek, kształcenie ludu uważaj za najświętszy.

Jeźli nie możesz pomódz do zakładania szkółek ludowych, to powinność twoją możesz w wielu innych sposobach wykonywać. Wiedz, że główną rzeczą są dobrzy nauczyciele; jeźli ci będą, znajdą się i dzieci. Ale ci nauczyciele muszą być dobrymi, dobrymi w całem tego słowa znaczeniu.

Dobre chęci bawiących w ojczyźnie młodych mogą wiele zdziałać. Odzywam się tu i do was przyjaciele, z którymi jeszcze niedawno oddychałem ojczystem powietrzem! Z wami wiele o tem mówiłem — mówiliśmy wszyscy — czyż miałoby się na tem skończyć? Mnie losy zaniosły daleko od was — ale wy zostaliście!

Czuliście i czujecie że temi słowy: „oświata ludu" tak długo już a zawsze nadaremnie obijającemi się o nasze uszy, dojść możemy do rozwiązania „zagadki narodowego życia". Tak jest ziomku — rozwiązanie tej kwestji rozwiąże nam zagadkę narodowego życia.

A.

Kraków dnia 15 lutego 1866.

(Wybory akademickie.)

Statuta akademickiego Towarzystwa bratniej pomocy w Krakowie nadesłano zupełnie tak samo jak we Lwowie z wyjątkiem, że w razie rozwiązania Towarzystwa fundusze przechodzą do Towarzystwa dobroczynności. Rząd porobił zatem znaczne zmiany w przedłożonym projekcie. Od dnia nadejścia zatwierdzenia rozpoczęła się agitacja wyborcza. Motywami jej były zasady te same, co poruszają całe stronnictwa przy każdym akcie życia w narodach oświeconych. Jest to wielki postęp, osobistości znikały, a tylko charaktery stosowano do miary zasad. Więc teologja walczyła z postępem w ogóle, fałszywi liberaliści (nibyarystokraci) z energją jakoby z absolutyzmem, a łączyli się z niemi fałszywi demokraci, biurokraci *in spe*, krzycząc na demagogją *(sic)* — poczucie własnej godności z dyplomatycznemi rachubami, czyli z przedwczesnem płaszczeniem się i t. p Spierano się zacięcie w kolegjach i w prywatnych kółkach, szastano nazwami, nadużywano słów dla błahych rzeczy, co głowa to rozum i było frakcyj z 15, aż rozstrzygnął w końcu, tak jak się należało, wzgląd na pożytek towarzystwa i zaufanie kolegów.

Dzisiaj odbyły się wybory, głosujących było dwieście sześćdziesięciu kilku, bezwzględną większość otrzymał na przewodniczącego Leopold Świerz. Ten już z urzędu zajmie się przedwyborami i ułożeniem listy kandydatów na wiceprezesa i wydziałowych, których wybór odbędzie się w przyszłą niedzielę.

Przewodniczył na zgromadzeniu dr. Dunajewski; głosowanie odbyło się częścią tajnie, częścią jawnie — jak kto chciał; statuta publikowano po niemiecku, tak jak je rząd przysłał, gdyż przygotowany przekład polski, okazał się podobno nie po polsku spisanym. *A. S.*

Montpellier, 31 stycznia 1866.

Nam Polakom, skazanym tu na śmiertelne nudy i tęsknotę, Tygodnik naukowo-literacki, przesłany przez jednego z waszych korespondentów wielką sprawił przyjemność. Z całą serdecznością na jaką stać jeszcze nasze zchorowane piersi przyklaskujemy myśli przez p. Hugona podniesionej a przez p. Bartoszewicza sympatycznie popartej. Szczęść Boże początkom — aby przynajmniej młodzież polska mogła związać się tym węzłem wzajemnych obowiązków i usług, któryby dziś cały kraj objąć powinien.

Co do mnie osobiście, przez całe życie marzyłem o skromnym jakim organie, gdzieby pragnienia i nadzieje młodzieży skupiać się mogły. To też nie odmówicie panie Redaktorze, cichego dla mnie kąta w kolumnach Waszego pisma, przeznaczonych na korespondencje studenckie. Tę przynajmniej korzyść przynieść spodziewam się, że przypomnę swoim kolegom z nad Wilji, Moskwy, Dunaju, Sekwany niestare jeszcze przyrzeczenia — służyć czem kto potrafi i od lat dziecinnych ogólnej sprawie.

Dziś przesyłam pierwszy słaby komentarz nad piękną korespondencją z Krakowa 1go stycznia b. r.

Dziennikarstwo zastąpiło w XIX w. akademje i mownice greckiego świata, cenzurę rzymską, kazalnicę kościelną wieków średnich — stało się nauczycielem, sędzią, lekarzem, kapłanem. Cała mądrość przeszłości, cała nadzieja przyszłości zlały się w tym potężnym monitorze najsilniejszego dziś państwa europejskiego — opinji publicznej. Kwestje niedostępne trybunałom cywilnym, kwestje moralności do niego należą. Jest ono obrońcą jedynego stronnictwa, które się samo bronić nie umie — stronnictwa nędzarzy i ciemnych, jedynej sprawiedliwości dotychczas niewymierzonej — sprawiedliwości należnej słabszemu; lekarzem zakorzenionych przesądów, uprzedzeń, nienawiści; stróżem tej wielkiej księgi Konfucjusza, Budhy, Mojżesza, Chrystusa, która się sumieniem ludzkiem nazywa.

Spojrzyjcie na to wielkie mrowisko ludzkości co dziś pomimo zachwianej wiary i wystudzonego serca, bieży w stronę pastępu z okrzykiem: naprzód! Co je porusza? Czy interes osobisty? Ależ poginęlibyśmy już co do jednego we wzajemnych zapasach idąc za tym ponurym przewodnikiem! Czy poświęcenie, zaparcie się własnych korzyści

dla dobra drugich? O, przestarzałym dzieciom Hobbesa, Helwecjusza, zwolennikom Feuerbacha, Büchnera nie mówcie o poświęceniu — od rozumu, loiki i elementarnej znajomości nauk przyrodniczych was odsądzą. Wychowańcy Mickiewiczów i Kraszewskich nawet o sercu, o miłości głośno boimy się mówić.

Obowiązki, opinja, dobre imie — one jedne pozostały dla nas jeszcze święte, silne, niezanalizowane. Pod tą chorągwią zgromadziło się wszystko co żyje, myśli, pracuje pożytecznie. Tej też chorągwi, ocalałej z ogólnego potopu ironji i szyderstwa mężnie wytrwale brońmy, bo burze domowe i nią już zatrzęsły i jej nieszczęścia się dotknęły.

A pracę rozpocznijmy od gruntownego i bezstronnego lecz zarazem i roztropnego zbadania naszego obecnego położenia, nie ukrywając ran własnych i boleści, lecz i nie drażniąc ich nadaremnie. Prawda jest przeczystą, nieskalaną dziewicą — niepozwalajmy jej stawać nago i bezwstydnie w tłumie ulicznym, gdzie ją znieważyć może pierwszy lepszy tandeciarz słowa, niepozwalajmy samej jednej w noc ciemną włóczyć się po nieznanych, krętych i ciasnych uliczkach ludzkiego żywota, bo szatan podejrzenia spokój w domu nam zakłuci, — ale też nie kryjmy jej jako starzy rostpustnicy za nieprzebyte dla potomności i historji mury źle pojętej tajemnicy. Odzianą w godowe szaty dobra i piękna poprowadźmy ją raczej przez szerokie gościńce poczciwości polskiej na odłogiem leżące niwy nasze i zdrowej, pełnej sił i nadziei młodzi zaślubmy. Pogodna przyszłość będzie prawym dzieckiem tego małżeństwa.

Zanim jednak — my, nowicjusze kapłaństwa, *Veni Creator* zaśpiewamy, przysięgnijmy naprzód sobie na grobach ojców, że sprasząjąc na weselne gody, pójdziemy gdzie nieszczęście, nędza, rozpacz — ze szczerością i cierpliwością wiernego sługi; gdzie przepych, zbytek, rozpusta — w poważnej sutanie Skargi. *Miączyński.*

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Wykład Chemji organicznej podług systemu unitarnego, napisał Jakób Natanson, prof. szk. gł. warsz. Część I. Warszawa 1866.

Pojawienie się tego dzieła, które dla ubogiej naszej literatury naukowej cenny stanowi nabytek, dowodzi, że Warszawa nietylko wielką ilością pism perjodycznych daje znaki życia.

Dzieło p. Natansona jest przeznaczone do użytku młodzieży uniwersyteckiej; autor poświęcił też swoją pracę młodzieży szkoły gł. warszawskiej.

Książka mająca obok wykładów profesora na wszechnicy służyć do nauki dla młodzieży, powinna zawierać gruntownie opracowaną teorję na podstawie najnowszych badań; powinien to być wyższy wykład obejmujący ogół nauki i wchodzący w najdrobniejsze szczegóły tejże, a przytem powinien podawać praktyczne sposoby otrzymania i zastosowania wszystkich znanych związków. Z tego zadania wywiązał się autor najzupełniej. Część ogólna w dziesięciu rozdziałach dokładnie obznajamia czytelnika z ogólnemi zasadami nauki, odpowiednio wymaganiom dzisiejszym. Autor korzystał z najnowszych prac sławnych chemików, jak Kekulé, Dulong, Petit, Regnault, Neumann, Kopp, (nad ciepłem właść. ciał — nad objętością właść. cieczy), Pasteur (nad fermentacją i gniciem), Wurtz, Gerhardt i innych. Nawet pomniejsze prace, rozbierające specjalnie ważniejsze kwestje chemiczne, są mu znane — (broszura Lothar'a Mayer'a z r. 1864.) Całe dzieło cechuje gruntowna znajomość przedmiotu i konieczna w dziele naukowem dokładność. Wszystko, co tylko dotąd niezmordowani badacze przyrody w tej gałęzi wiedzy ludzkiej odkryli, wszystkie poglądy i teorje, jakie na podstawie tych odkryć postawili, pomieścił p. Natanson w swej książce. Jednak nie jest to prosta kompilacja; jest to samodzielne opracowanie przedmiotu. Zaznajamiając czytelnika w części ogólnej z zasadniczemi pojęciami chemji organicznej autor wywodzi historycznie początek każdego poglądu czy teorji, podaje nazwisko twórcy, rozbiera krytycznie rozwój tych pojęć, a w końcu przedstawia rzecz tak, jak tego wymaga dzisiejszy stopień nauki. W kwestjach nierozstrzygniętych autor podaje przeciwne zapatrywania się uczonych na sprawy chemiczne i albo przyłącza się do jednego obozu, albo daje swój własny pogląd na rzecz (jak n. p. str. 57 atomowość pierwiastków). Chociaż całe dzieło utrzymane na wysokości nauki, przecież wykład nie jest ciężki; owszem styl wszędzie jasny i potoczysty, język gładki i czysty. Słownictwo chemiczne ile możności wszędzie racjonalne i odpowiednie duchowi języka. — Autor zrobił tem dziełem wielką przysługę nietylko młodzieży szkoły gł. warszawskiej, ale w ogóle całej młodzieży polskiej, kształcącej się na uniwersytetach w kraju lub za granicą; ofiarował jej książkę naukową w języku ojczystym, która ma jeszcze tę wyższość nad podobnemi w obcych językach, że nie opiera się na starych teorjach, nie wytrzymujących dzisiejszej krytyki naukowej (jak n. p. teorja elektro-chemiczna Berzeliusza) i zawiera wszystkie po dziś dzień poczynione odkrycia, które całą naukę z gruntu zmieniły, tak że dzieła o chemji organicznej przed kilku laty pisane, już dzisiaj są przestarzałe.

— Dr. Jireček wydał w języku niemieckim pierwszą część większego dzieła p. n. „Prawo czeskie i morawskie. Praga 1865". Część pierwsza zawiera najprzód wyjaśnienie gieograficznych stosunków dawniejszych czasów, przedstawia granice i podział kraju, osiedlenie Słowian, ich plemiona i rody, ustrój rodzinny i społeczny — poczem przechodzi do prawa publicznego, prywatnego i postępowania sądowego w najdawniejszych czasach. Dzieło to odznacza się gruntowną znajomością słowiańskich starożytności. Dr. Jireček wydał jeszcze w r. 1863 dzieło o słowiańskiem prawie w Czechach i Morawji — a obecnie pracuje nad zbiorem praw czeskich: „Codex juris bohemici", którego pierwsza część wkrótce ma wyjść.

— Dr. Danieli wydał „System pruskiego prawa cywilnego" tom I. Berlin 1866. Jest to właściwie pomnożone i ulepszone wydanie jego wykładu prawa pruskiego, który wyszedł w r. 1851 i 1852.

— Dr. F. W. Ghillany wydał w języku niemieckim: „Kronika europejska od 1492 do kwietnia 1865." 2 tomy, Lipsk 1865. Jest to synchronistyczne zestawienie wypadków z dosłownem przytoczeniem najważniejszych traktatów. Książka dla publicystów bardzo ważna.

— W Lipsku wyszły świeżo po niemiecku Dr. E. Zellera „Wykłady i rozprawy historyczne." Zbiór cały dzieli się na dwie części, z których pierwsza odnosi się do historji filozofji — druga do historji krytycznej teologji. Szczególnie ciekawą jest ostatnia rozprawa o Strausie i Renanie, w której autor dowodzi wyższość naukową Straussa. Dr. Zeller odznacza się nietylko gruntowną znajomością rzeczy, ale oraz i obrazowym, popularnym wykładem.

— Guizot — Mémoires. Tome VII. — Paris 1865 — zawiera czasy od 1842—1846, a zatem najważniejsze czasy ministerjum Guizot'a. Rozdział pierwszy tego tomu jest niejako wyznaniem politycznej wiary autora. Broni się przeciw zarzutom doktrynerstwa i twierdzi, że prawie wszystkie podnoszone przeciw niemu zarzuty pochodzą ztąd, iż nie schlebiając niczyim namiętnościom działał tylko w interesie kraju. Zarzucano mu często — powiada — iż za mało uwzględniał życzenia i uczucia narodu i był zbyt obojętnym na pochwałę i naganę, co jednak niesłuszna, bo zna on dobrze urok popularności. Nigdy, jak twierdzi, nie występował przeciw osobom lub stosunkom z powodu osobistego jakiegoś upodobania, ani też wychodząc ze stanowiska oderwanych teorji nie powstrzymywał ducha czasu. A jeżeli mu się opierał, to działo się to ze względu na dobro publiczne. Tak zawsze mówią ludzie tak zwani konserwatywni, którzy jednak nic nie „konserwują" bo przeciw dążącemu naprzód postępowi są oni bezsilni. Utylitaryzm, interes ogółu jest im parawanem za który ukrywają swoją bezzasadowość, zapominając o tem, iż najwyższym utylitaryzmem jest postępować podług stale wyrobionych zasad i iść zawsze z duchem postępu. P. Guizot także zapomniał o tem — i dla tego upadł.

Z nowszych niemieckich dzieł przyrodniczych zapisujemy:

— H. Karsten: Beiträge zur Anatomie und Physiologie der Pflanzen Berlin 1866. Jest to zbiór rozpraw pisanych między r. 1843 — 1866.

— Roczniki wynalazków i postępu na polu fizyki, chemji technologji, mechaniki, astronomji i meteorologji wydane przez Dr. Hirz'la i Gretschl'a. I rok. Lipsk 1865. Odznacza się wielką obfitością materjału — i daje dokładny obraz postępu tych nauk. Szkoda tylko, że nie obejmuje całego obszaru nauk przyrodniczych.

— Dr. Pohl: Wykład chemicznej Technologji. Wiedeń 1865 — Tom pierwszy. Tom ten zawiera najprzód ogólne wiadomości z fizyki (o specyficznej ciężkości, cieple, optyce, elektryczności, magnetyzmie) dalej zarysy ogólne chemji, dość wyczerpujące a czasem zbyt obszerne jak na taki ogólny wstęp. Kończy się ten tom wstępem do chemicznej technologji.

Korespondencja redakcji.

Panu (nieczytelne nazwisko) w Zubraczu poczta Baligród.

Artykuły Lessingiana i Goethiana będą pożądane; prosimy jednak o czytelne wypisanie nazwiska, abyśmy się mogli bliżej porozumieć.

Od następnego numeru będzie Tygodnik naukowy i literacki zamieszczał: Wykłady publiczne na dochód ubogich słuchaczów akademji technicznej za przyzwoleniem szanownych pp. wykładających.

Wydawca i odpow. redaktor **F. B. Twardowski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.